

System emerytalny „stoi” na demografii. Za brak dzieci obecne pokolenie „zapłaci” niższymi emeryturami, wyższymi podatkami i dłuższą pracą.

Jest rok 1967. Luty. W magazynie „Newsweek” ukazuje się artykuł Paula Samuelsona – wtedy jeszcze nie wie, że za trzy lata będzie pierwszym amerykańskim, a trzecim w historii ekonomistą z Nagrodą Nobla – opisujący, jak według niego działa system emerytalny. Czytamy w nim m.in., że:

Piękno ubezpieczeń społecznych jest w tym, że są one niestabilne aktuarialnie. Każdy, kto osiąga wiek emerytalny, otrzymuje prawo do świadczeń, które znacznie przekraczają całą sumę, jaką wpłacił. (...) Jak to jest możliwe? (...) Ubezpieczenia społeczne bezpośrednio opierają się na tym, co można nazwać ósmym cudem świata – na procencie składanym. Rosnące społeczeństwo jest największą piramidą finansową, jaką kiedykolwiek wymyślono.

Paul mógł tak wtedy pisać. Wskaźniki dzietności grubo przekraczały 2, kolejne pokolenia były coraz liczniejsze. **Finansowanie emerytur w systemie repartycyjnym (czyli takim, gdzie obecnie pracujący finansują świadczenia emerytów) mogło faktycznie wydawać się dziecinnie proste.** Skoro mamy coraz więcej ludzi wchodzących na rynek pracy, a do tego wytwarzają coraz więcej dóbr i usług, bo lepiej wykorzystujemy ich pracę (innowacje), to jaki może być problem z emeryturami? To dlatego pokolenie osób urodzonych w powojennym wyżu może jeszcze liczyć na świadczenia wynoszące w niektórych przypadkach nawet ok. 100 proc. tego, co otrzymują pracujący. Ale jak każdy piękny sen – także ten – ma swój koniec. Na scenę wkracza bowiem... demografia.

Z jednej strony zaczynają maleć wskaźniki dzietności – co jest zjawiskiem niepożądanym. Z drugiej ludzie żyją coraz dłużej – co jest ze wszech miar pożądane, ale rodzi określone wyzwania związane z obsługą ich świadczeń. Bo skoro coraz dłużej je pobierają, to trzeba więcej wydawać na ich finansowanie. A dzieci, a tym samym przyszłych pracujących, jest coraz mniej. Tak kończy się ósmy cud świata. I jak to z cudami bywa – stykamy się z twardą ścianą rzeczywistości.

Będzie nas tylko 10 mld

Na Ziemi żyje obecnie ponad 8 mld ludzi. Od końca II wojny, gdy było nas ponad 2

mld, to czterokrotny wzrost. Kolejne miliardy przybywały co kilkanaście lat. To z tego zjawiska Paul Samuelson mógł czerpać inspirację do swojego „cudu”. **Ale nie będzie nas tak dużo, jak myśleliśmy i myślał Paul, bo rodzi się coraz mniej dzieci.**

Aktualne szacunki ONZ mówią, że maksimum populacji osiągniemy w okolicach 2085 r. i **będzie nas na globie „jedynie” 10,3 mld. A później ta liczba zacznie się kurczyć**, by na koniec wieku osiągnąć 10,2 mld, a w wariancie pesymistycznym nawet 6,99 mld. Kluczowy jest tutaj wskaźnik dzietności (z ang. TFR). Maleje on praktycznie wszędzie na świecie. Nawet dzietność w Afryce w ciągu ostatniego półwiecza spadła z 6,8 do 4,5 i do połowy stulecia będzie niewiele wyższa niż 2,1.

W ostatnich latach spośród krajów rozwiniętych jedynym, który zachowuje poziom zastępowalności pokoleń (2,1) jest Izrael (2,8). W pozostałych od lat jest poniżej. Spośród krajów UE najwyższy wskaźnik od lat notuje Francja. W 2024 r. wyniósł 1,63, średnia dla UE to 1,42. Z kolei wśród krajów należących do OECD TFR w 2024 r. wynosił średnio 1,46, podczas gdy jeszcze w 1964 r. było to 3,27! Także w przyszłości nie ma co liczyć na znaczące zmiany. Szacunki mówią, że w 2044 r. TFR dla krajów OECD wynosi niemal tyle, co obecnie (1,51), podobnie ma być w 2064 r. (1,53).

Dłuższa praca albo bieda

Co zatem można zrobić, by nasze emerytury nie były zastraszająco niskie? Oczywiście oprócz tego, że może ludzie „się opamiętają” i zaczną mieć więcej dzieci, czego powinniśmy sobie wszyscy życzyć? Właściwie trzy rzeczy:

1. Dłużej pracować (podnoszenie wieku emerytalnego/zachęty do dłuższej pracy),
2. Podnosić podatki/składki (rządy i obywatele tego nie lubią),
3. Obniżać świadczenia (to już się dzieje, bo w wielu krajach, a w Polsce szczególnie, maleją i będą maleć tzw. stopy zastąpienia, czyli relacja emerytur do płac).

Większość krajów na świecie wybrała rozwiązanie nr 1. Jeśli spoglądamy, jak wygląda możliwość odchodzenia na emeryturę (w 38 najlepiej rozwiniętych gospodarkach świata skupionych w OECD i 7 innych dużych) to widzimy trzy podstawowe zależności.

Po pierwsze, **wiek emerytalny kobiet i mężczyzn jest równy. Zaledwie 6 spośród 38 krajów OECD, ma go na różnym poziomie.** Po drugie, jest on sukcesywnie podnoszony i docelowo wynosi ponad 65 lat dla obojga płci. Po trzecie, im kraj jest bogatszy, tym ten wiek jest... wyższy.

Zwracają tu uwagę kraje nordyckie, które mają ustalony moment odejścia z rynku pracy na poziomie wyższym od średniej. Polska, obok Kolumbii, jest jedynym krajem w OECD, gdzie wiek emerytalny kobiet jest na poziomie do 60 lat. Kolejne 5 krajów – Węgry, Luksemburg, Słowenia, Kostaryka i Turcja – mają go na poziomie 62-63 lata, a w pozostałych krajach (31) kobiety odchodzą na emeryturę, mając 65 lat lub więcej.

Wiek emerytalny, co do zasady, determinuje wysokość świadczeń. Im później odchodzi się z rynku pracy, tym na wyższe świadczenie można liczyć. Czyli dłuższa praca pozwala uniknąć/łagodzi nasze punkty 2 i 3 (podwyżki podatków/obniżki świadczeń).

Tak nie dzieje się w Polsce. **Przez niski wiek emerytalny jesteśmy w awangardzie krajów świata, jeśli chodzi o spodziewaną wysokość przyszłych świadczeń.** Niestety w złym tego słowa znaczeniu, a dotyczy to zwłaszcza kobiet. Średnio panie mogą liczyć na to, że po zakończeniu kariery zawodowej otrzymają zaledwie 22,9 proc. zarobków (dotyczy kobiet zarabiających średnią płacę). Mężczyźni – niespełna 30 proc. ich pensji.

To wyjątkowo mało – tylko na Litwie ten wskaźnik dla kobiet jest niższy. Średnia dla krajów OECD wynosi ponad dwukrotnie więcej. Mężczyźni w krajach OECD dostaną blisko 51 proc. zarobków, a kobiety 50,1 proc. Jeszcze lepsza jest sytuacja w krajach UE. Tutaj jest to odpowiednio – 54,8 proc. i 54,3 proc.

Przygotuj się na „szok przejścia”

Czy taka sytuacja jest do utrzymania na dłuższą metę? Pewnie nie. Trudno wyobrazić sobie, by w przyszłości rzesze starszych osób żyły na granicy ubóstwa. Dlatego już dzisiaj trzeba myśleć – zarówno na poziomie indywidualnym, jak i polityk publicznych – o tym wyzwaniu.

Co zatem robić? **Na pewno odkładać pieniądze w systemie emerytalnym, nie unikając wpłat do ZUS, pracując np. na czarno.** Łatwo teraz cieszyć się z większej kwoty „do ręki”, ale w przyszłości zapłacimy za to niższym świadczeniem. I

ważne zastrzeżenie: ZUS nie zbankrutuje, bo oznaczałoby to bankructwo państwa.

Kolejny, choć może mniej oczywisty, element emerytalnej strategii to zdrowie. Dobra kondycja to możliwość zarabiania i dłuższej aktywności. Warto też inwestować w siebie. Wykształcenie, kursy, nauka podwyższa zarobki i kwoty odkładane na starość. No i wreszcie dodatkowe oszczędzanie – zwłaszcza w produktach oferowanych przez państwo: IKE, IKZE, PPE, PPK (szczególnie atrakcyjne jest to ostatnie).

Ale nie tylko od naszej zapobiegliwości powinna zależeć nasza emerytalna przyszłość. Powinno tu też działać państwo. Może wdrażać realne zachęty do dłuższego pozostania na rynku pracy stosunkowo młodych osób i takich, które mogą pracować dłużej. To nie tylko ważne z ich perspektywy – ich emerytury będą wyższe. **Chodzi też o ręce do pracy na naszym rynku.** W dobie starzejącego się społeczeństwa i malejącej liczby rodzących się dzieci ważne, by w naszej gospodarce ich nie zabrakło.

Komentarz ukazał się na portalu Zero:

<https://zero.pl/news/niskie-emerytury-to-kara-za-brak-dzieci>